

Zbudował mnie stary Adamko dla swojego syna Bohdana. Stałam na końcu wsi, ale nie na końcu świata, bo przede mną spotykały się trzy drogi. Jedna wiodła na północ do miasta, druga na zachód do trzech sąsiednich wsi, a trzecia na wschód przez las do wsi, gdzie co roku był wielki targ na bydło i konie. Za mną płynął potok, a dojsście do niego było szerokie i wygodne. Tak wygodne, że nawet Święto Jordanu nad nim odprawiano.

Nie wiem, jak mnie budowano, bo widzę, słyszę i pamiętam dopiero od dnia, gdy ojciec Prochor mnie poświęcił i okadził.

Mam duże kamienie węgielne i szeroki fundament z płaskich kamieni wydartych gór i potokowi. Moje ściany zrobiono ze zdrowej jodły, a dach z dobrego dartego gontu. Sień mam na przestrzał, po prawej stronie dużą izbę czarną i komorę, a po lewej izbę białą.

Budowano mnie w niespokojny czas, bo wtedy cesarze darli się między sobą. Jeszcze moje ściany nie pociemniały, gdy walki się skończyły. Cesarzy podobno wypędzono czy zabito, a tu nastała Polska.

Zaraz potem Bohdan wziął sobie żonę z tej wioski za lasem i prawie rok po roku narodziły mu się trzy córki i dwóch synów. Dziecięcym piskom, płaczom, śmiechom i bieganiu nie było końca od rana do nocy.

Nastały dla mnie dobre czasy. Od wiosny do jesieni pachniałam ziołami, owocami, kiszoną kapustą i grzybami. Zimą moje ściany grzały się od kuchennego pieca.

Minęło wiele lat. Bohdanowe dzieci porosły, a dwie najstarsze córki wyszły za mąż. Wtedy przyszła wieść o nowej wojnie.

Polska chyba tę wojnę przegrała, bo pojawili się obcy żołnierze, których mowy nikt nie rozumiał. Nie było z nimi żartów, bo bili za byle co. Raz przyszli i tu, zabrali Bohdanowe owce, a jego pobili. Kurował się potem przez długi czas.

Po kilku latach obcy żołnierze uciekli, ale spokoju dalej nie było, bo w lasach pojawiło się nowe wojsko. Podobno teraz miała tu być Ukraina. Ci ludzie z lasu przyszli tu któregoś dnia, akurat gdy gospodarz sprawiał barana. Zabrali mięso, a Bohdana pobili, bo nie chciał go oddać. Potem przychodzili jeszcze parę razy, kazali się karmić i zabierali jedzenie. Domownicy zawsze potulnie robili co kazali, a po ich wyjściu bili pokłony i żegnali się przed ikoną.

Później leśni ludzie gdzieś przepadli, a przyszli polscy żołnierze. Krzyczeli, Bohdanowi dali w pysk i kazali się zbierać do wyjazdu. Bohdanowa żona płakała, ale gospodarz zagnał ją i dzieci do pakowania się. Nie zabrali wiele. W pośpiechu złapali po worku kaszy i mąki, słoninę wiszącą pod belką i trochę innego jadła. Zgarnęli pościel i ubrania, i popychani przez żołnierzy, wyszli. Gospodyni zdążyła jeszcze zawinąć w czysty ręcznik domową ikonę, a Bohdan podparł kołkiem drzwi, przeżegnał się trzy razy, ucałował mój próg i tyle ich widziałam.

Zaraz na drugi dzień drogą od miasta przyjechali obcy ludzie, odrzucili kołek sprzed drzwi i powynosili prawie wszystko. Wyłapali kury, a resztę zwierząt pognali ze sobą. Został pies, który warował na progu jeszcze ze dwa tygodnie. Zmarniał, wychudł i w końcu gdzieś przepadł. Kot kręcił się dłużej w pobliżu, ale i on któregoś dnia zniknął.

Zostałam sama. Przez niedomknięte drzwi wiatr nawiał mi do sieni liści. Jesienne słoty przyniosły wilgoć moim ścianom, które w czas mrozów pokrywały się od środka szronem. Marzłam, kurczyłam się w sobie - chorowałam. Mimo to trwałam i czekałam na ludzi.

Po kilku latach przyjechali jacyś zielonym samochodem. Weszli do środka, zajrzeli w każdy kąt i odjechali. Za kilka dni wrócili i wzięli się do pracy. Wyprzątali wszystko, obielili moje ściany, naprawili okna i drzwi, a potem wnieśli trochę mebli.

Jeden z tych ludzi został na stałe. W czarnej izbie spał i jadł, a do białej wstawił stół i szafkę z jakimiś

papierami. Tam też przyjmował ludzi, którzy mówili do niego: „panie leśniczy”.

Ów leśniczy nie był stary, ale jakiś smutny. Z ludźmi gadał niewiele i mało siedział w izbie z papierami. Prawie co rano brał flintę i wychodził do lasu. Wracał pod wieczór i dopiero wtedy gotował sobie jedzenie. Do jadła pił wódkę, a potem do późna grał na heligonce. Rano wstawał, szedł do lasu i tak w koło Macieju.

Czasem odwiedzali go goście z flintami i wtedy w obu izbach było gwarno. Jedli, pili, gadali, a potem spalili, gdzie który mógł. Poza nimi nie odwiedzał go nikt, a już na pewno żadna kobieta.

Mimo że smutny i samotnik, leśniczy był dobrym gospodarzem i za jego czasów znowu poczułam się bezpieczna i potrzebna.

Przeżyliśmy razem wiele lat. W tym czasie gospodarz posiwił, a mnie wymieniono dach. Zdarto stare gonty i założono blachę. Podobno po tej zmianie wyglądała ładniej, ale czułam się gorzej, bo blacha była zimna i jakaś obca.

Niedługo po rozstaniu z gontami, rozstałam się i z leśniczym, który pewnego dnia spakował walizkę i tyle go widziałam. Znowu zostałam sama.

Potem pojawili się tu pasterze ze stadami owiec. Wybudowali w pobliżu swój szałas, niszcząc pozostałą jeszcze po Bohdanie stodólkę. Bałam się, że i mnie rozbiorą, albo podpalą. Na szczęście nic mi nie zrobili, a tylko ich psy zachodziły tu i paskudziły po kątach.

Pasterze byli przez kilka lat, ale tylko od wiosny do jesieni. Na zimy zostawałam sama. Znowu, jak przed laty, marzłam, kurczyłam się w sobie i chorowałam.

Którejś wiosny zajrzał tu Czesław. Był to młody człowiek z brodą, ale ogolony na łyso. Pobyl kilka dni. Spał na podłodze i prawie nic nie jadł. Pewnie nie musiał jeść, bo nic nie robił, tylko godzinami siedział w kucki na ziemi i mruczał coś pod nosem. Potem odszedł, ale niebawem wrócił i zagospodarował się na dobre.

Był chyba obcej wiary, bo dzień święty miał w środę. W tym dniu tylko siedział i mruczał modlitwy. Nawet, gdy ktoś go wtedy odwiedził, to musiał czekać do zachodu słońca, żeby z nim pogadać.

Był to dziwny gospodarz, ale lepszy taki niż żaden.

Ogarnął trochę sień i izby, naprawił drzwi i nawet posadził zagonek jarzyn i kartofli. Latem nakosił trawy, wysuszył i schował do szopy. Już wyglądało na to, że zostanie na stałe, gdy znowu wyjechał.

Nie było go jakiś czas, ale wrócił z mocno obładowanym... osłem. Od tamtego dnia osioł skubał trawę i ryczał mi pod oknami, a Czesław naprawiał wszystko jak umiał i widać było, że szykuje się do zimowania.

Gości miał rzadko. Tylko czasem od strony miasta przychodzili na kilka dni młodzi ludzie. Wieczorami siedzieli do późna przy świecach, rozmawiali i śpiewali. Gorzałki nie pili, bo gospodarz nie pozwalał.

Od następnej wiosny wszystko zaczęło się zmieniać. Najpierw Czesław sprowadził dwa dziwne zwierzęta. Wełnę miały jak owce, ale były większe i miały długie szyje. Żarły trawę, ale nie beczwały. Podobno były to lamy.

Z nastaniem lata zaczęli tłumnie przyjeżdżać znajomi gospodarza. Byli podobno z Warszawy. Spali pokotem w czarnej izbie lub pod namiotami. Niektórzy pomagali gospodarzowi przy remontowaniu mnie, w pracy na grządkach i przy sianie. Pomagali jak umieli, ale nie bardzo im to wychodziło, bo nie znali się na robocie. Większość jednak siedziała na trawie, kąpała się nago w potoku lub łąziła po okolicy.

Mnie to się nawet podobało, bo znowu było gwarno jak przed wojną.

Władzy było to jednak nie w smak, bo co jakiś czas przyjeżdżali żołnierze i przeganiali gości. Wygnani wyjeżdżali, potem wracali, wojsko znowu ich przepędzało i tak było aż do jesieni.

Na zimę Czesław znów został sam. Chodził z osłem po sprawunki, czasem zaglądał tu jakiś znajomy z miasta, ale przeważnie tylko wilki podchodziły nocami i węszyły w stronę obórki, gdzie stał osioł z łamami.

Tak przeszło kilka lat. Zżyłam się już z Czesławem, aż tu nagle on zaczął zbierać się do drogi. Wybierał się za wielką wodę, do tej samej Ameryki, dokąd wyjeżdżali ludzie jeszcze za moich młodych lat. Oni wyjeżdżali z biedy, a on po co?

Tak czy inaczej Czesław wyjechał, a tu zamieszkał Dominik. Był duży, kościsty i trochę dziki z wyglądu. Mimo krzepkiej budowy był bardzo chory. Podobno zmarnował sobie zdrowie przez zażywanie jakichś trucizn. Gdy tu mieszkał, nic już nie zażywał, ale palił dziwne papierosy i popijał gorzałkę. Miał dobre serce. O mnie i zwierzęta dbał lepiej niż poprzednik, ale tylu gości już do niego nie przyjeżdżało. Przybywali, ale nie takimi chmarami i tylko na dzień lub dwa.

Którejś zimy przyszło ich kilkoro i posiedzieli ze trzy dni, ale to zaraz nie spodobało się władzy. Mimo zadymki i kopnego śniegu, przyjechali dwaj żołnierze i wypędzili Dominikowych gości. Podobno był to czas jakiegoś stanu wojennego i nikomu nie było wolno chodzić, gdzie chciał.

Potem nawaliło śniegu i długo trzymały tęgie mrozy. Z trudem utrzymywałam śnieg na dachu, a mojemu gospodarzowi zaczęło już brakować jedzenia. Wtedy nocą przyszedł na nartach jeden z tych wygonionych. Chyba przyniósł jedzenie i gorzałkę, bo gościli się i śpiewali aż do rana.

Nieszczęście jakieś było nade mną czy co, bo po kilku latach i Dominika pognało gdzieś w świat.

Jego miejsce zajął Edward. Był duży jak poprzednik, ale czarnowłosy i ciemniejszy po twarzy. Był miłkiwy i mniej ludzi go odwiedzało. O mnie i zwierzęta dbał tylko tyle, ile było trzeba.

Każdą wolną chwilę spędzał przy stole, stukając palcami w jakąś maszynę. Podobno była to maszyna do pisania, a gospodarz pisał, bo był, czy też chciał zostać pisarzem. Często stukał tak całą noc. Zapisane papiery czasem darł i wrzucał do pieca, a czasem chował do szuflady.

Z początku żył samotnie, ale potem zaczęła przychodzić tu jakaś kobieta. Najpierw wpadała raz na jakiś czas, a potem wprowadziła się na dobre i została jego żoną. Całe dni spędzali nad papierami, bo nowa gospodyni też coś pisała.

Wkrótce z tego Edwardowego pisania powstała książka, a on sam zaczął być znany. Pisał coraz więcej i zaczęło mu się coraz lepiej powodzić.

Raz nawet przyjechali tu dwaj bardzo miastowo ubrani panowie i przywieźli jakieś aparaty. Porozstawiali je, a mojemu gospodarzowi kazali do nich mówić.

Czesław i Dominik gadali czasem ze zwierzętami, ale nie widziałam jeszcze nikogo mówiącego do maszyny. A Edward mówił. Ci panowie zrobili z tego gadania coś, co pokazywali po świecie. To nazywało się film, czy jakoś tak.

Z czasem Edwardowa żona urodziła dziecko i wtedy poczułam, że niedługo wszyscy się wyprowadzą. Tak też się i stało.

Potem miałam jeszcze kilku gospodarzy, ale żaden z nich nie pobyl tu długo. Przychodzili i odchodzili, powoli pozbywali się zwierząt, a ja bałam się, że znowu zostanę sama.

Los się jednak do mnie uśmiechnął i któregoś dnia na moim progu znowu stanął... Czesław. Postarzał się, broda mu posiwiiała, ale zachowywał się tak jak przed laty i nawet dzień świąty nadal miał w środe. Nie chodził już z osłem po sprawunki, bo osła od dawna nie było, ale jeździł samochodem. Chyba z rok przyjeżdżał i wyjeżdżał, aż w końcu sprowadził dwa konie i został na dobre.

Wkrótce wybudował obok mnie nową szopę, a w niej coś jakby piec. Potem przywiózł glinę i wziął się do robienia garnków. Lepił je w rękach lub na kole i wypalał w tym piecu. Z początku mu nie wychodziły, ale z czasem były coraz lepsze i ładniejsze.

Znowu jak dawniej, latem przyjeżdżali tu goście. Nie spali już pod namiotami i nie kąpali się nago w potoku, lecz lepił z Czesławem garnki. Od wiosny do jesieni było gwarno, a nowe kolorowe garnki wypełniały moje izby. Co jakiś czas Czesław gdzieś je wywoził i sprzedawał.

Znów nastał dla mnie dobry czas. Nie przemarzałam już w zimowe noce i nie byłam sama.

Przeżyłam cesarzy, wojny i różne niepokoje. Przez moje drzwi przechodzili ludzie dobrzy i źli, weseli i smutni, mądrzy i głupi. Oczy moich okien widziały ludzkie radości i tragedie, narodziny i zgony.

Mam już ponad sto lat, ale wciąż stoję, bo mam duże kamienie węgielne i szeroki fundament z płaskich kamieni wydartych gór i potokowi, a moje ściany zrobiono ze zdrowej jodły. Stoję w mojej dolinie, nad moim potokiem i pod moim lasem. Stoję, bo miałam szczęście do ludzi.

Ja - stara chata.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Marian, dodano 11.12.2018 10:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.